



Edmond Hamilton

Podbój dwóch planet

(A Conquest of Two Worlds)

Wonder Stories, February 1932

Okładka: Frank R. Paul

Tłumaczenie Witold Bartkiewicz

© Public Domain

Oryginał tekstu i ilustracje zaczerpnięto z wydania The Nostalgia League.

This eBook is for the use of anyone anywhere at no cost and with no restrictions whatsoever.

Uwaga redakcyjna. Zgodnie z informacją redaktora The Nostalgia League, w dostępnych wydaniach opowiadania brak jest nagłówka i tytułu pierwszego rozdziału, pomimo że w przypadku pozostałych rozdziałów zostały one zachowane.

Tej wiosny, kiedy lot Gillena zmienił świat, Jimmy Crane, Mart Halkett i Hall Burnham studiowali na politechnice w Nowym Jorku. Crane, Halkett i Burnham stanowili nierozłączną trójkę, już od czasów dzieciństwa. Zawsze razem walczyli ze swymi młodocianymi wrogami, czy też zmagali się z lekcjami. Także w obecnej chwili we trójkę czytali, tak samo jak robił to zdumiony świat, o niesamowitym wyczynie Rossa Gillena.

Gillen, niski, grubawy, nieśmiały okularnik, naukowiec z Arizony, wysadził jakby granatem cały bieg spraw na świecie. Przez szesnaście lat pracował nad problemem energii atomowej. Kiedy w końcu go rozwiązał i stwierdził, że potrafi wyciągnąć niemal nieograniczone ilości energii z niewielkich kawałków materii, rozbijając jej atomy za pomocą prostego projektora pola elektrycznego o olbrzymim napięciu, Gillen poprosił o pomoc Ansona Drake'a. Razem z Drakem opracowali silnik działający na zasadzie odrzutu atomowego. Wyrzucał on z siebie rozbite atomy o gigantycznej energii, wykorzystując je jako potężny środek napędowy, podobnie jak silnik raketowy wykorzystuje strumień gazów spalinowych.

Dla Gillena oznaczało to możliwość podboju kosmosu. Podczas pewnej brzemiennej w skutki zimy, kiedy Crane'a, Halketta i Burnhama zajmowały jeszcze tylko kłopoty w szkole i występy na szkolnych zawodach sportowych, Gillen i Drake skonstruowali rakietę, wykorzystującą jako środek napędowy mechanizm odrzutu atomowego, i zdolną do przenoszenia ładunku wielkości jednego człowieka wraz z niezbędnymi zapasami powietrza, żywności i wody. Na statku zainstalowany został transmiter radiowy ich własnego pomysłu, wykorzystujący kierunkowy promień nośny do przesyłania impulsów radiowych z przestrzeni kosmicznej na Ziemię, poprzez warstwę Heaviside'a. Kiedy wszystko było już gotowe, Ross Gillen wsiadł do rakiety i z rykiem silników wyruszył w kosmos po wieczną chwałę.

Crane, Halkett i Burnham czytali raporty przesyłane przez radio Gillena, z równie wielką niecierpliwością, jak wszyscy inni ludzie na Ziemi. Najpierw udał się on w stronę Słońca i donosił, że Wenus jest pozbawionym łądów globem, całkowicie pokrytym wodą, a Merkury to masa stopionej skały. Na obydwu planetach, lądowanie było niemożliwe. Następnie Gillen skierował się po obszernej krzywej prowadzącej od Słońca na zewnątrz, w stronę Marsa, i pewnego pamiętnego dnia, ogłosił na Ziemi pierwsze lądowanie na tej planecie.

Na Marsie, jak raportował Gillen, istniała rzadka, ale nadająca się do oddychania atmosfera. Był to suchy świat czerwonych pustyń, z niewielkimi tylko oazami szarej roślinności, we wszystkich miejscach, gdzie zachowały się podziemne źródła albo ciekły wodne. Zamieszkiwali go Marsjanie, stworzenia na pewnym stopniu inteligencji, przenoszące się od oazy do oazy w koczowniczych grupach. Były to istoty podobne do ludzi, o szczudłowatych rękach i nogach, z potężnymi wypukłymi piersiami i bulwiastymi głowami, pokrytymi lekkim futerkiem. Gillen przekazywał, że

grupy, czy też plemiona, Marsjan walczą od czasu do czasu między sobą, wykorzystując włócznie i inne podobne uzbrojenie, ale jego przyjęto mile jako przyjaciela. Przed opuszczeniem Marsa donosił również o stwierdzeniu, oznak występowania dużych złóż surowców mineralnych i chemicznych.

Sygnaly radia Gillena stawały się coraz słabsze, w miarę jak jego rakieta poruszała się przez przestrzeń kosmiczną w kierunku Jowisza. Udało mu się w końcu wylądować na tej upragnionej planecie, i stwierdził, że jest ona pozbawiona oceanów, ciepła i parna, pokryta od jednego bieguna do drugiego, lasami wielkich drzewiastych paproci. Zamieszkiwane one były przez dziwną faunę, a najwyższą formą życia na planecie byli – jak ich nazwał Gillen – Jowianie, chodzące w wyprostowanej postaci stworzenia, z dużymi, miękkimi, pozbawionymi owłosienia ciałami, o grubych rękach i nogach, zakończonych płetwami, zamiast dłońmi i stopami. Mieli małe i okrągłe głowy, o dużych ciemnych oczach. Żyli w sposób pokojowy, w wielkich społecznościach w lasach paproci, odżywiając się owocami i korzonkami. Mieli bardzo niewiele broni i zachowywali niemal dziecięcą życzliwość. Gillen pozostał wśród nich przez kilka dni, a następnie opuścił Jowisza.

Gillen oznajmił jedynie, iż podwyższona siła grawitacji na Jowiszu oraz jego ciężka, mokra atmosfera, spowodowały że poczuł się źle, a więc, skierował się z powrotem na Ziemię. Uran, Neptun i Pluton, były oczywiście beznadziejnie zimne i niezdatne do zamieszkania.

Crane, Halkett i Burnham byli częścią świata, który szalał z podniecenia, kiedy Gillen zmierzał z powrotem przez kosmos w stronę Ziemi. A kiedy rakieta Gillena z rykiem przebiła się przez atmosferę i z potężnym impetem uderzyła w ziemię, znaleziono Gillena w środku, zmiażdżonego i martwego, ale z uśmiechem na twarzy.

Dla Crane'a, Halketta i Burnhama, Gillen był największym bohaterem, podobnie zresztą jak i dla wszystkich ludzi na Ziemi. W ciągu niemal jednej nocy, lot Gillena, sam fakt podróży międzyplanetarnej, zmienił zupełnie wszystko. Nowe planety, stanęły dla Ziemiaków otworem, co spowodowało pojawienie się nowych ogromnych problemów. W tym samym czasie kiedy Anson Drake, pomocnik Gillena, nadzorował konstrukcję dziesięciu nowych rakiet dla drugiej ekspedycji, rządy państw obradowały niemal bez przerwy, decydując się w końcu na to, że jedynym sposobem uniknięcia straszliwej wojny między narodami, o bogate terytoria na Marsie i Jowiszu, może być wyłącznie utworzenie dla tych wszystkich planet, jednego wspólnego rządu. W ten sposób powołana została do życia Rada Międzyplanetarna, a jednym z jej pierwszych aktów prawnych, było uczynienie z wyprawie Drake'a, oficjalnej wyprawy eksploracyjnej.

Wzięcie udziału w ekspedycji Drake'a, stało się celem wszystkich żądnych przygód, młodych ludzi na Ziemi. Wśród nich byli oczywiście również Jimmy Crane, Mart Halkett i Hall Burnham, i chociaż w zasadzie mieli oni do zaoferowania wszystko to co większość pozostałych śmiazków, to tamci jednak nie dysponowali wykształceniem, ani wiedzą techniczną. Udręczony przygotowaniami Drake zabrał całą trójkę, i kiedy dziesięć

rakiet Drake'a wyruszało w rejs, z pełnomocnictwem Rady Międzyplanetarnej do pozyskiwania minerałów i innych zasobów Marsa, oraz do utworzenia bazy dla dalszej eksploracji na Marsie i w miarę możliwości na Jowiszu, Crane, Halkett i Burnham znajdowali się razem w Rakiecie 8.

Ekspedycja Drake'a stała się modelowym przykładem klasycznej katastrofy. Dwie z jego dziesięciu rakiet uległy zagładzie w głębi kosmosu, w roju meteorów. Wielu ludzi w pozostałych rakietach zważyło z nóg fatalne połączenie braku ciężenia, niczym nie osłabianego promieniowania ultrafioletowego, i straszliwego blasku oraz mroku otwartej przestrzeni kosmicznej. Ta choroba kosmiczna spowodowała niezdolność do normalnej pracy u mniej więcej połowy ludzi Drake'a. Kiedy ósma rakiet podchodziła do lądowania w pobliżu marsjańskiego równika, wśród chorych byli również Halkett i Burnham.

Jedna z rakiet Drake'a rozbiła się podczas lądowania, a trzy inne odniosły mniejsze uszkodzenia. Wylądowali w pobliżu jednej z oaz roślinności, i Drake zarządził utworzenie obozu. Zimne i rzadkie powietrze marsjańskie pomogło doprowadzić do normalnego stanu, jego cierpiących na chorobę kosmiczną ludzi, ale jednocześnie w innych uderzyła choroba, którą później określono jako gorączkę marsjańską. Zapadł na nią między innymi Hall Burnham, chociaż Halkett i Crane nigdy jej nie złapali. Marsjańska gorączka rozwijała się w wyniku zupełnie obcych warunków, w jakich znalazły się organizmy Ziemi.

Ludzie Drake'a przebywali bowiem na planecie, na której zupełnie nie można było porównać do standardów ziemskich. Zmniejszona grawitacja powodowała, że najdrobniejszy ruch ludzi powodował groteskowo nieproporcjonalne skutki. A w dodatku rzadkie powietrze sprawiało, że bardzo szybko ich męczył minimalny nawet wysiłek. Promieniowanie słoneczne było dostatecznie intensywne, do tego by podczas dnia zapewnić względne ciepło, ale noce w obozie Drake'a, były szalenie zimne. Halkett, Crane i Burnham, podziwiali jednak splendor tych mroźnych nocy, wspaniałe gwiazdy świecące lodowatym blaskiem, dwa marsjańskie księżyce rzucające nieustannie zmieniające się, ruchome cienie.

No i oczywiście byli tam Marsjanie. Pierwszy kontakt wyprawy Drake'a z nimi, był dosyć przyjazny. Wielkie, futrzaste, człekokształtne istoty, wyglądające w oczach Ziemiaków niesamowicie dziwnie, ze swoimi szerokimi piersiami i podobnymi do szczudeł kończynami, wynurzyły się z roślinności porastającej oazę, aby przyjaźnie powitać ludzi Drake'a. Wieści o wizycie Gillena, krążyły widać po sporej części Marsa, a przynajmniej ci Marsjanie musieli je słyszeć.

Drake został przez nich powitany mile, i rozkazał swoim ludziom, aby także się z nimi zbratali, ponieważ miał nadzieję, że dowie się od nich wiele na temat zasobów naturalnych Marsa. Zaczynał już rozumieć, że jego wyprawa była zdecydowanie zbyt mała, do tego by rozpocząć nawet najbardziej wstępną eksplorację planety. Tak więc Marsjanie i Ziemianie łączyli się i mieszały razem, w małym obozie na skraju oazy. Niektórzy z ludzi nauczyli się również podstaw języka Marsjan, wśród nich był także Mart Halkett, i zebrali od tubylców nieco informacji dotyczących lokalizacji złóż surowców mineralnych. Aczkolwiek większość z tych wieści nie była specjalnie godna zaufania, mimo wszystko Drake uważał jednak, że czegoś udało im się dowiedzieć.

Ale cały ten stan rzeczy zmienił się, gdy jeden z ludzi Drake'a, głupio wygadał się jakimś Marsjanom, że ich ekspedycja marsjańska była tylko zwiastunem wielu podobnych z Ziemi, oraz że Rada Międzyplanetarna będzie kierować przyszłością wszystkich planet. Niezależnie od tego, jak bardzo byliby prymitywni, dla Marsjan musiało być szokiem, że stali się oni przedmiotem tego nowego rządu. Natychmiast wycofali się z obozu Ziemian. Drake przekazał przez radio na Ziemię informację, że tubylcy zachowują się bardzo dziwnie, oraz że poważnie obawia się ataku.

Jednak, kiedy trzy dni później nastąpił atak, to sami Ziemianie go na siebie sprowadzili. Tubylcy uderzyli na obóz, gdy jeden ze strażników Drake'a zabił dla zabawy Marsjanina. Drake pośpiesznie polecił przygotować do obrony silniki odrzutu atomowego, i atakujący Marsjanie zostali niemal unicestwieni przez straszliwy ogień zdeintegrowanych atomów. Kryjąc się za prowizorycznymi umocnieniami ziemnymi, Ziemianie, nawet ci, którzy ślaniali się na nogach od gorączki marsjańskiej, kierowali ryczące płomienie to w jedną stronę, to w drugą, kosząc tłumy biegnących futrzastych Marsjan, o szerokich piersiach i patykowatych nogach. Halkett, Crane i Burnham mieli również swój udział w tej jednostronnej walce.

Marsjanie wyciągnęli wnioski z otrzymanej lekcji i nie atakowali już więcej frontalnie, tylko otoczyli obóz i systematycznie ścigali i zabijali wszystkich, którzy go opuszczali. Coraz więcej ludzi Drake'a zapadało na gorączkę marsjańską, a kilku od niej zmarło. Eksploatacja zasobów planety była absolutnie wykluczona i pozycja Drake'a stała się nie do utrzymania. Po odebraniu raportu z tymi informacjami, Rada Międzyplanetarna nakazała powrót ekspedycji na Ziemię.

Drake w nieprzemysłany sposób odesłał najpierw na Ziemię cztery ze swoich rakiet, w tym w jednej z nich, Halketta wraz z przyjaciółmi. Pozostałe trzy, z załogami oraz nim samym, miały zostać nieco dłużej, po to by naprawić uszkodzenia powstałe przy lądowaniu. Jeszcze tej samej nocy Marsjanie zaatakowali ich z pełną siłą, i Drake razem z wszystkimi swoimi ludźmi zginął w czymś, co musiało być przerażającą bitwą.

Halkett, Crane i Burnham powrócili na Ziemię z czterema wysłanymi przodem rakietami, w jakiś czas po tym, jak ostatnie, przerwane nagle komunikaty radiowe Drake'a, oznajmiły wszystkim o jego losie. Na Ziemi, która przyjęła ich jak bohaterów, wieść o zabiciu przez Marsjan ich dowódcy i towarzyszy, wywołała gniew i wściekłość. Informacje dotyczące

Marsa, które zdążył wysłać Drake, donoszące o bogatych pokładach surowców chemicznych i metali, dolały jeszcze do gniewu ludzi na Ziemi, potężną dawkę chciwości.

Niemal natychmiast Rada Międzyplanetarna obwieściła, że na Marsa zostaną wysłane kolejne siły, znacznie lepiej wyekwipowane i przygotowane do tego by stawić czoła warunkom marsjańskim, przy tym dostatecznie silne, aby odeprzeć każdy atak Marsjan. Oczywiście było, że Marsjanie będą stawiać opór wszelkim próbom eksploracji, i że zanim będzie można wykonać dokładne badania planety, muszą oni najpierw zostać podbici. Kiedy to już będzie zrobione, Mars będzie mógł stać się bazą dla dalszej eksploracji Jowisza.

Produkcja rakiet już została rozpoczęta na skalę niemal setki sztuk, wykorzystano przy niej wszystkie doświadczenia zdobyte podczas katastrofalnej ekspedycji Drake'a. Opracowano nowe przyrządy, ostrzegające przed rojami meteorów, przy pomocy rzutowanych do przodu, pól magnetycznych. Kadłuby i porty okienne, zostały tak przekonstruowane, by złagodzić straszliwe promieniowanie ultrafioletowe w otwartej przestrzeni kosmicznej. Wyprodukowana została specjalna uprząż bezwładnościowa, której zadaniem było złagodzenie potężnych wstrząsów podczas startu i lądowania. Wszystko to powinno zredukować zapadalność na chorobę kosmiczną, natomiast gorączka marsjańska miała zostać opanowana poprzez specjalne kuracje tlenowe, którym okresowo musieli być poddawani wszyscy zaangażowani w nowe przedsięwzięcie.

Nie zapomniano również o uzbrojeniu. Broń oparta na odrzucie atomowym, została udoskonalona, zarówno pod względem swej siły, jak i zasięgu rażenia, wyprodukowano również nowe bomby atomowe, które wybuchały z bezprecedensową gwałtownością. Podczas gdy werbowano i szkolono załogi dla tej floty rakietowej, zorganizowane zostało również Wojsko Rady Międzyplanetarnej. Większość z ludzi ocalałych z katastrofalnej ekspedycji Drake'a, przyłączyło się do tego lub tamtego rodzaju nowych sił zbrojnych. Crane, Halkett i Burnham zaciągnęli się natychmiast, i ponieważ posiadane doświadczenie marsjańskie czyniło z nich wartościowe nabytki, otrzymali w nowej armii stopnie poruczników.

Halkett skomentował to wszystko następująco:

- Nie rozumiem tylko dlaczego mamy tam wracać, aby zabijać tych biednych futrzastych nieszczęśników - powiedział Crane'owi i Burnhamowi. - Przecież pomimo wszystko, oni walczą o swoją planetę.
- Nikt by ich nawet nie tknął, gdyby byli rozsądni i nie zaatakowali nas, prawda? - odparł Crane. - My przecież jedynie próbujemy uczynić z Marsa coś więcej, niż tylko wielką bezużyteczną pustynię.

– Ale Marsjanom zdaje się on całkowicie podobać jako pustynia – upierał się przy swoim Halkett. – Jakie mamy tak naprawdę prawo, do tego by go zmieniać i eksploatować jego zasoby, wbrew ich życzeniom?

– Halk, jeśli będziesz wygadywał takie bzdury, to ludzie pomyślą sobie, że jesteś pro-Marsjański – z zatroskaniem stwierdził Crane. – Czy nie zdajesz sobie sprawy, że Marsjanie nigdy, aż do końca świata, nie zdołają wykorzystać nawet niewielkiej części tych surowców chemicznych i złóż metali, podczas gdy Ziemia potrzebuje ich tak bardzo?

– Nie wspominając już o fakcie, że damy Marsjanom znacznie lepszy rząd, niż kiedykolwiek mieli w przeszłości – dodał Burnham. – Oni zawsze zażarcie walczyli między sobą, a teraz Rada to powstrzyma.

– Przypuszczam, że rzeczywiście tak się stanie – przyznał Halkett. – Ale to niczego nie zmienia. Nie znajduję żadnej przyjemności w szlachtowaniu ich przy pomocy blasterów atomowych, tak jak to robiliśmy z Drake’em.

– Nie, teraz będzie zupełnie inaczej – odparł mu Crane. – Marsjanie od razu zobaczą, że jesteśmy za silni, i niczego nie zaczną.

Crane okazał się być kiepskim prorokiem. Kłopoty zaczęły się od razu, kiedy tylko złożona ze stu raket wyprawa, dowodzona przez Richarda Weatheringa, byłego zastępcy dowódcy w ekspedycji Drake’a, dotarła na Marsa. Nie było nawet szansy na podjęcie próby jakichkolwiek pokojowych metod. Walki z Marsjanami rozpoczęły się niemal natychmiast.

Oczywiste było, że od czasu wyprawy Drake’a, Marsjanie przewidywali pojawienie się kolejnych ekspedycji, i poczynili pewne przygotowania. Mniejsze grupy połączyły się w kilka dużych oddziałów, wynaleziono nawet prymitywną broń chemiczną, nie różniącą się mocno od ognia greckiego. Z nią uderzyli na rakiety Weatheringa, które wylądowały na równinowym płaskowyżu. Ale Weathering doprowadził już swoje oddziały do porządku, po zamieszaniu wywołanym lądowaniem, i był gotowy na ich przyjęcie.

Jego pierwszym krokiem po wylądowaniu był rozkaz zebrania raket razem, i okopaniu ich dookoła umocnieniami ziemnymi. Oba te zadania ułatwiała w znakomity sposób niższa siła ciężenia panująca na Marsie. Następnie, w strategicznych miejscach za nimi, rozkazał umieścić baterie blasterów atomowych. Jedną z nich dowodził Jimmy Crane, inną Halkett. Otworzyły one ogień w stronę Marsjan, gdy tylko znaleźli się w ich zasięgu. Masy futrzastych wojowników, niezdolne do użycia swojej, niezbyt efektywnej, broni chemicznej, zostały zmuszone do wycofania się, pozostawiając na polu bitwy kilka tysięcy poległych. Natychmiast spróbowali otoczyć i odciąć Ziemiaków, tak jak to zrobili z ekspedycją Drake’a.

Weathering nie pozwolił im na to. Wiedział, że źródłem egzystencji Marsjan jest szara roślinność porastająca oazy. Zarośla te składały się głównie z krzewów sage, które w czasie gdy rozwijały się polarne czapy śniegowe, uginały się pod ciężarem podobnych do strąków owoców. Weathering wysłał ekspedycje, które miały rozwiązać ten problem.

Porucznik Jimmy Crane prowadził jedną z wypraw, których zadaniem było zniszczenie oaz, znajdujących się w odległości do stu mil wokół posterunku Ziemiaków.

Wykonali otrzymane rozkazy chociaż Marsjanie stawili w swoich oazach zażarty opór. Zarówno w jaskrawym świetle słońca, jak i podczas czarnych, mroźnych nocy, pomiędzy umundurowanymi na brązowo Ziemianami i futrzastymi Marsjanami, toczyły się szaleńcze walki. Jednak Crane i inne wyprawy, z uporem posuwały się naprzód, niszcząc całą szatę roślinną atomowym ogniem. I w końcu, po zniszczeniu wszystkich roślin dostarczających im zapasów żywności, Marsjanie znajdujący się w tym stumilowym kręgu, zostali zmuszeni do odejścia przez czerwoną pustynię do innych oaz.

Weathering podzielił wtedy swoje siły na trzy dywizje, wykorzystując posiadane rakiety do przetransportowania dwóch z nich w punkty znajdujące się w tej samej odległości od równika Marsa. W każdym z tych miejsc utworzono posterunek podobny do tego jaki miał sam Weathering, z umocnieniami ziemnymi z każdej strony i zamontowanymi bateriami blasterów atomowych. Jimmy Crane, który pokazał swoje zdolności w poprzedniej fazie kampanii na Marsie, został mianowany dowódcą jednego z nich, dowódcą drugiego, porucznik Lanson. Halkett i Burnham pozostali w załodze posterunku samego Weatheringa.

Osiemdziesiąt z dziewięćdziesięciu siedmiu rakiet, które pomyślnie wylądowały, Weathering odesłał teraz na Ziemię, po kolejnych ludzi i więcej zapasów. Z samej Ziemi również dochodziły wieści, że zbudowano pięćdziesiąt nowych rakiet, i że były one już w drodze z posiłkami i materiałami. Kiedy dotarły na miejsce, Weathering rozdzielił je równo pomiędzy wszystkie trzy posterunki, a następnie także odesłał na Ziemię, po kolejne zasoby. Crane i Lanson, zgodnie z jego rozkazami, zniszczyli oazy również wokół swoich posterunków, aby odepchnąć od nich Marsjan.

Rozdział 2

Podbój Marsa

Ludzie Weatheringa z wolna aklimatyzowali się do warunków panujących na Marsie. Kuracje natleniające wyeliminowały większość przypadków gorączki marsjańskiej i w miarę jak mięśnie Ziemiaków dostosowywały się stopniowo do mniejszej siły przyciągania, ich ruchy stawały się coraz pewniejsze. Godzien wzmianki jest fakt, że niektórzy z tych pierwszych poszukiwaczy przygód, którzy po spędzeniu roku na Czerwonej Planecie, powrócili z Marsa na Ziemię, zapadali z kolei na coś w rodzaju choroby ziemskiej, spowodowanej odmiennymi warunkami panującymi na Ziemi.

W miarę jak przybywały kolejne wzmocnienia, Weathering nadal rozdzielał je pomiędzy trzy posterunki: Crane'a, Lansona i swój. Chciał utworzyć trzy mocne forty, których istnienia nie zdławi nawet najpotężniejszy marsjański atak. A były pewne oznaki ze strony Marsjan, że należy się go spodziewać.

Utarczki z Marsjanami stawały się coraz bardziej zażarte. Widzieli oni dosyć wyraźnie, że plan Weatheringa sukcesywnie rozwija się, i każdego tygodnia z Ziemi przybywają kolejne rakiety, przywożące coraz więcej ludzi, zapasów, blasterów i bomb atomowych. Zdecydowali się więc, na wspólnie zaplanowany atak, aby zetrzeć trzy forty Ziemiaków z powierzchni planety, zanim staną się one zbyt silne.

Atak uderzył jednocześnie we wszystkie trzy forty, znajdujące się w znacznej odległości od siebie. Nie udało im się zaskoczyć ani Weatheringa, ani Crane i Lansona. Ich blastery atomowe czekały w gotowości do akcji. Ale nawet pomimo tego, uderzenie Marsjan było niemal niemożliwe do odparcia, z powodu samej jego siły. Z najodleglejszych regionów czerwonej pustyni, w kierunku trzech małych fortów, napłynęła fala futrzastych Marsjan, brnąc nieustępliwie przed siebie pomimo ognia blasterów atomowych, które kazały im płacić za każdy krok dziesiątkami tysięcy ofiar.

Posterunek Weatheringa, jak również Crane'a, wytrzymały ten atak, ale tylko z najwyższym wysiłkiem. Jedną z baterii blasterów atomowych w forcie Weatheringa dowodził Halkett. Ustawiona ona była po stronie, z której Marsjanie atakowali z najbardziej zacieklą determinacją. To właśnie bateria Halketta siała największe zniszczenie wśród futrzastych hord.

Trzeci posterunek, Lansona, upadł. Marsjanie wdarli się do środka ze swoją bronią chemiczną, pomimo zmasowanego ognia blasterów i bomb atomowych Ziemiaków. Lanson i jego garnizon zostali przez Marsjan zmasakrowani i wyrznięci do nogi. Tylko trzy rakiety stacjonujące w

posterunku Lanson'a zdołały wystartować tuż przed upadkiem fortu, i zanieść wieści o klęsce Weatheringowi.

Weathering zareagował natychmiast, pomimo że jego własna sytuacja nie była zbyt pewna. Zebrał szesnaście rakiet ze swojego fortu, oraz od Crane'a, wyładował je po brzegi ludźmi i bronią i wysłał je pod dowództwem Marta Halketta, aby odtworzyć trzeci fort. Udało się to zrobić, początkowo biorąc Marsjan z zaskoczenia, a następnie utrzymując to miejsce, pomimo zacieklej ich dalszych ataków z pełną siłą.

Później walki nieco przycichły, a Weathering, Crane i Halkett trzymali się z ponurą determinacją w swoich fortach. Marsjanie ponieśli potężne straty, a mimo to nie udało im się usunąć Ziemian, tak więc nie byli w nastroju do kolejnych ataków dużymi siłami. Ale również nie wycofali się na pustynię, tylko nadal oblegali wszystkie forty.

Stopniowo, jednak, Ziemianie rośli w siłę, w miarę jak docierało coraz więcej rakiet. Cała Ziemia, w wyniku tej sytuacji, stanęła w płomieniach, niemal czcząc Weatheringa jako obrońcę ziemskiego honoru. Wspaniała walka samotnych posterunków Ziemian, pośród niezliczonych marsjańskich hord, przemawiała do wyobraźni zwykłych ludzi, powodując uporczywe domaganie się od Rady Międzyplanetarnej, aby skorzystała ze wszystkich pozostających w jej dyspozycji sił, do wzmocnienia wojsk na Marsie.

A to oznaczało, że trzeba to zrobić. Weatheringowi wysłano wiadomość, ogłaszającą jego nominację z pułkownika na generała, awansującą Jimmy'ego Crane'a na pułkownika, a Halketta, Burnhama i wielu innych oficerów, do stopni kapitańskich. Biura rekrutacyjne Rady na Ziemi, nie były w stanie sobie poradzić z zalewem nowych rekrutów.

Do tej pory rakiety płynęły już z fabryk potężną i stale rozszerzającą się rzeką. Również uzbrojenie atomowe produkowane było w olbrzymich ilościach, tak więc każdego dnia na Marsa odlatywały rakiety, wypełnione do maksimum zapasami i ludźmi. Wiele z nich nadal ginęło z powodu niebezpieczeństw czyhających w przestrzeni kosmicznej, ale większość docierała bezpiecznie. Weathering ciągle rozdzielał nowo przybyłych ludzi i zapasy pomiędzy wszystkie trzy swoje posterunki.

Kiedy forty stały się dostatecznie silne, by nie obawiać się żadnego ataku Marsjan, Weathering zaczął tworzyć nowe posterunki. Kontynuował metodycznie pokrywanie powierzchni Marsa małymi, ale silnymi placówkami, z których każda nadzorowała pewną określoną część powierzchni planety. Hall Burnham został mianowany dowódcą jednego z pierwszych takich fortów. Crane i Halkett zachowali dowództwo swoich posterunków.

W ciągu roku Weathering stworzył kompletną sieć pięćdziesięciu fortów, rozciągniętych na całej powierzchni Marsa, od czapy polarnej bieguna północnego, do południowego. W każdym z nich utrzymywał silne garnizony brązowych żołnierzy Ziemian, gruntownie zaaklimatyzowanych do grawitacji i atmosfery marsjańskiej, jak również doświadczonych w walkach z szczudłonogimi Marsjanami. W tym okresie Halkett i Burnham dowodzili dwoma z pięćdziesięciu fortów, a Jimmy Crane był już zastępcą samego Weatheringa. Obaj pracowali razem, zgodnie z przyjętym planem

rozdzielając napływający z Ziemi strumień ludzi i materiałów, pomiędzy pięćdziesiąt posterunków.

Kiedy nadszedł następny okres topnienia biegunowych czap śniegowych, Weathering był gotów, by rozpocząć finalne operacje pacyfikujące Marsa. Z kręgu sześciu fortów, otaczających określony obszar, wysyłane były duże siły, których zadaniem było zepchnięcie wszystkich Marsjan na tym terenie. Taki właśnie był plan stworzony przez Weatheringa i Crane'a. Polegał on na tym, aby w danej chwili koncentrować siły tylko w jednym regionie planety, wykorzystując forty rozmieszczone wokół tego regionu jako bazy. Siły te miały gruntownie spacyfikować Marsjan na danym obszarze, a następnie przemieścić się do kolejnego.

Pierwszą z tego rodzaju operacji rozpoczął Crane, i doskonale wywiązał się ze swoich obowiązków. Rada Międzyplanetarna poleciła Weatheringowi, aby oferować Marsjanom pokój, jeśli zgodzą się uznać władzę Rady. Ludzie Crane'a nie mieli jednak nawet szansy na to, aby złożyć tę ofertę, tak niesamowicie zaciekły był opór Marsjan.

Marsjanie zupełnie nie spodziewali się tego, co się wydarzyło. Już jakiś czas temu, szcudłonodzy Marsjanie musieli zaprzestać ataków na placówki Ziemi, ograniczając się wyłącznie do sporadycznych rajdów, po których wycofywali się, aby mieszkać w oazach położonych w większej odległości od fortów. Tam żyli w sposób, w jaki robili to od wieków, podróżując i koczując w kolejnych oazach, zbierając owoce będące podstawą ich pożywienia, kopiąc studnie, tak jak to nauczyły ich całe wieki doświadczeń, czyniące ich mistrzami w znajdowaniu podziemnych źródeł. A teraz, to Ziemianie zaczęli atakować ich samych! Marsjanie poderwali się do szaleńczej walki.

Wojska Crane'a były jednak silnie uzbrojone, i Marsjanie nie mieli szans ze swoją prymitywną bronią, przeciwko atomowym blasterom i bombom atomowym. Tubylcy, którzy znajdowali się w pacyfikowanym regionie, zostali w większości wybici w walkach, a niewielką liczbę ocalałych, zapędzono do obozów więziennych. Crane, zgodnie z rozkazami Weatheringa, wyruszył do kolejnego regionu, i tam powtórzył całą operację. Jednym z posterunków otaczających ten region, był fort Halketta, ale Crane i Halkett mieli niewiele sposobności do tego, by się ze sobą zobaczyć, pośród całej tej ponurej sprawy wyniszczania Marsjan. Kiedy ten region został spacyfikowany, tak jak poprzedni, wojsko Crane'a skoncentrowało się na kolejnym.

Po upływie kolejnego roku, Weathering mógł wysłać do Rady wiadomość, że plan zakończył się sukcesem, i poza kilkoma odległymi pustkowiami, leżącymi w pobliżu czap śniegowych, Mars został całkowicie opanowany. W ciągu tego roku trzy czwarte rasy Marsjan zostało

wybitych, ponieważ niemal w każdym przypadku, ich siły walczyły do końca. Ci, którzy pozostali, nie mogli stanowić żadnego zagrożenia dla systemu ziemskich fortów. Rada przesłała Weatheringowi gratulacje, i powierzyła Crane'owi dowództwo ekspedycji, która przygotowywała się do opuszczenia Ziemi, w celu eksploracji Jowisza.

Crane wrócił na Ziemię, aby objąć nad nią dowództwo, odbierając przedtem słowa ciepłego pożegnania od Marta Halketta i Halla Burnhama, i odwiedzając posterunki w których stacjonowali. Crane spędził na Ziemi pół roku, przygotowując swoją złożoną z dwustu raket ekspedycję, do tego by mogła ona sprostać warunkom panującym na Jowiszu. Zajęło to tak wiele czasu, ponieważ Jowisz stanowił dla ziemskich badaczy, dużo poważniejszy problem niż Mars, i biolodzy oraz chemicy musieli wypracować metody pozwalające na pokonanie tych przeszkód.

Największy problem widział Crane w sile ciężkości Jowisza, która pomimo szybkiego obrotu planety wywołującego siłę odśrodkową przeciwdziałającą grawitacji, i tak była prawie dwukrotnie większa niż na Ziemi. Wizyta Gillena na Jowiszu, podczas jego epokowego lotu, skończyła się chorobą, wywołaną właśnie przez zwiększoną siłę przyciągania, oraz duszną i wilgotną atmosferę tej planety. Ludzie Crane'a, musieli więc zostać wzmocnieni, aby mogli wytrzymać te warunki.

Ziemscy naukowcy do pewnego stopnia rozwiązali ten problem, poprzez zaprojektowanie sztywnych metalowych ubrań, nieznacznie tylko różniących się od zbroi, wspomagających wewnętrzny szkielet człowieka, w walce z przyciąganiem Jowisza. Ludziom Crane'a wydano również stworzone przez biochemików mikstury, powodujące przyspieszony rozwój tkanki kostnej i wzmacniające konstrukcję kręgosłupa. Ponadto, opracowano aparaty oddechowe, absorbujące z wdychanego powietrza znaczną część pary wodnej, co powinno dla ludzi Crane'a rozwiązać problem dusznej i wilgotnej atmosfery.

Tak wyekwipowana ekspedycja Crane'a wyruszyła dwustoma raketami na Jowisza, wybierając okres, w którym strefa asteroidów, leżąca między Ziemią a Jowiszem, była względnie czysta. Pomimo tego, szesnaście spośród dwustu raket, nigdy nie osiągnęło punktu docelowego. Pozostałe wylądowały bezpiecznie w lasach drzewiastych paproci na południowej półkuli Jowisza, i Crane zaczął tworzyć w tym miejscu pierwszy ziemski posterunek.

Niemal natychmiast znalazł się w poważnych kłopotach. Chociaż metalowe pancerze i inne podjęte środki ochronne, dosyć efektywnie zabezpieczały przed zwiększoną grawitacją, Ziemianie stwierdzili wkrótce, że pomimo tego nawet najprostsze ruchy mogą wykonywać jedynie z najwyższą trudnością. Całe tygodnie, żmudnej walki z przyciąganiem Jowisza, zajęło ludziom Crane'a oczyszczenie otaczającego ich lasu paproci, oraz wykopanie umocnień ziemnych w mulistej, czarnej glebie planety.

W obozie zaczęła szerzyć się choroba, ponieważ aparaty oddechowe nie działały tak dobrze, jak zabezpieczenia przez podwyższoną grawitacją. Ciężkie, mokre powietrze siało spustoszenie w płucach Ziemian, i tak zwany jowiański krup wkrótce stał się tak samo znany i dużo bardziej

przerażający niż gorączka marsjańska. Ludzie tyrający ponad siły w nikłym blasku światła słonecznego, wręcz masowo zapadali na tę chorobę. Siły Crane'a w krótkim czasie zostały przez nią zdziesiątkowane.

Lasy paproci utrzymywały również rozmaite niesamowite żywe istoty, również sprawiające poważne problemy. Były wśród nich mięsiste stworzenia w kształcie dysku, które chwytaly zdobycz, otaczając ją swoim ciałem, i od razu trawiły. W mulistej ziemi kryły się także dziwaczne olbrzymie stwory, podobne do robaków i wiele, wiele innych. Ludzie Crane'a musieli przez cały czas trzymać w gotowości blastery atomowe, aby odstraszać te dziwne drapieżne formy życia.

Z lasów drzewiastych paproci przybywały także, aby obserwować przybyłych z Ziemi gospodarzy obozu, wielkie stworzenia o miękkich ciałach, które Gillen nazwał Jowianami. Osiągali oni osiem stóp wysokości i sześć stóp obwodu, przypominając wielkie cylindry, o brązowym, pozbawionym włosów ciele, wsparte na grubych zakończonych płetwami nogach, z podobnymi do nich również płetwiastymi rękoma. Ich małe, kuliste główki miały ciemne, łagodne oczy i usta z których wydobywały się głębokie, basowe dźwięki. Crane stwierdził, że są oni może nawet równie inteligentni jak Marsjanie, ale z pewnością znacznie bardziej pokojowo usposobieni, a ich jedyną broń stanowiły włócznie, służące im do walki z drapieżnymi stworzeniami, zamieszkującymi lasy paproci.

W stosunku do Ziemiaków byli dosyć przyjaźni i obserwowali ich działania z dziecięcym zainteresowaniem. Crane chciał uniknąć błędów Drake'a i nie rozpoczynać konfliktów z Jowianami, w sytuacji gdy jego ludzie pracowali w pocie czoła nad założeniem swojego pierwszego i kolejnych posterunków na południowej półkuli Jowisza. Wysłał do rady raport, że na razie ograniczy swoje działania wyłącznie do południa Jowisza. Podczas gdy na Ziemi z intensywnym zainteresowaniem śledzono prace Crane'a na Jowiszu, na Marsie zaszło mnóstwo zmian.

Markt Halkett, dowodzący ciągle jednym z równikowych posterunków marsjańskich, zaobserwował nowy rodzaj migracji, który w obecnej chwili ruszył z Ziemi na Marsa. Dotychczas rakiety przewoziły niewiele więcej poza nowymi oddziałami żołnierzy Rady, i przeznaczonymi dla nich zapasami. Obecnie, jednak, Halkett obserwował wylewający się na nowo podbitą planetę tłum cywilów. Byli to najróżniejszej maści magnaci finansjery, spekulanci, inżynierowie, mechanicy, którym Rada przyznawała teraz koncesje na wielkie złoża marsjańskich minerałów i surowców chemicznych.

Na oczach Halketta, wokół tych fortów, które znajdowały się najbliżej złóż, włączając w to również jego własny, szybko wyrastały proste górnicze miasteczka, pełne różnego rodzaju Ziemiaków. Gorączka marsjańska została do tej pory całkowicie opanowana przez ziemskich

naukowców, i niektóre z tych prymitywnych nowych miasteczek, liczyły już tysiące przybyszów z Ziemi. Wśród ludzi, od czasu do czasu, widziało się szczudłonogich Marsjan o szerokich piersiach, którzy poruszali się jakby oszołomieni kipiącą wokół nich gorączkową aktywnością. Większość pozostałych przy życiu Marsjan znajdowało się jednak w wybranych oazach, wydzielonych dla nich jako rezerwaty. W miarę rozwoju działalności górniczej, powstały również fabryki przetwarzające i oczyszczające surowce, tak więc Halkett obserwował kolejne floty rakiet, przybývające z ludźmi i maszynami, a wracające na Ziemię z ładunkiem metali i środków chemicznych.

Halkett wyruszył do posterunku Burnhama na północnej półkuli Marsa, ze zboląłym sercem. Oznajmił Burnhamowi, że załatwił sobie przeniesienie na Jowisza, aby służyć tam w rozrastającym się systemie fortów Jimmy'ego Crane'a.

– Nie mogę tego już wytrzymać – wyznał przyjacielowi. – Chodzi mi o to, co zrobiliśmy z tym światem. Marsjanie, jego lud, zostali niemal starci z powierzchni planety, a ci którzy przeżyli, traktowani są w taki sposób.

Burnham spojrział na niego przenikliwym wzrokiem.

– Bierzesz to zbyt poważnie, Halkett – odparł. – To były naprawdę ciężkie czasy, przyznaję, ale w końcu to Marsjanie są tymi podbitymi.

– Podbici... starci z powierzchni, powtórzę jeszcze raz – gorzko powiedział Halkett. – Burnham, czasami mi się to śni... te fale futrzastych szczudłonogich ludzi, idących i idących, na pewną śmierć. I moje blastery atomowe koszące ich pokotem jak trawę.

– Musieli zostać podbici – nie zgadzał się Burnham. – Czy nie było warto? Spójrz tylko na zasoby tej całej planety, stojące teraz otworem dla wspólnego pożytku, zamiast leżeć bezproduktywnie.

– Stojące otworem dla chmar spekulantów i finansistów, którzy ciągną z nich olbrzymie zyski – poprawił go Halkett. – Marsjanie zostali wymordowani, a my wykonaliśmy tę brudną robotę, i po co to wszystko? Po to aby banda obwiesi, rojąca się teraz na Marsie, mogła jeszcze bardziej się wzbogacić.

– Patrzysz na to zbyt wąsko – przekonywał go Burnham. – To niestety jest nie do uniknięcia, że w trakcie takiej ekspansji, muszą dziać się pewne złe rzeczy.

– A więc, po co w ogóle dokonywać ekspansji? – spytał go Halkett. – Dlaczego nie mogliśmy zostać na naszej własnej planecie, i pozwolić tym biednym nieszczęśnikom z Marsa i Jowisza, na zachowanie swoich?

Burnham pokręcił przecząco głową.

– Ekspansja jest tak nieunikniona, jak to, że przepelniony zbiornik przelewa się do pustego. W każdym razie, Halk, tutaj walki już się skończyły. Dlaczego więc chcesz lecieć na Jowisza?

– Ponieważ tutaj czuję się jak morderca, nawiedzający miejsce swojej zbrodni – odparł mu Halkett. – Kiedy widzę jak niektórzy z tych upodlonych Marsjan czepiają się naszych miast, żebrząc o odrobinę jedzenia, a w zamian otrzymują od Ziemiaków szturchańce i kopniaki, to chcę się stąd jak najszybciej uciec, i nie obchodzi mnie, gdzie.

Halkett powędrował więc dalej, na Jowisza. Tam stwierdził, że do tej pory, Crane założył już na południowej półkuli tej potężnej planety, dwanaście posterunków, postępując zgodnie z systemem wypróbowanym na Marsie przez Weatheringa. Jowiański krup sprawiał Crane'owi dużo więcej kłopotów, niż wszystkie inne przeciwności, i ta straszliwa choroba, często kończyła się śmiercią. Listy zgonów, jak dotąd, rosły w zatrważającym tempie, pomimo że naukowcy na Ziemi pracowali w pocie czoła, by opanować tę chorobę. W końcu udało im się opracować surowicę, która była efektywnym środkiem zapobiegawczym. Halkett został nią zaszczepiony, natychmiast po przybyciu na Jowisza.

Halkett stwierdził również, że mimo wszystkich trudności, Crane nieustannie wzmacniał swój system posterunków, w miarę jak z Ziemi ciągłym strumieniem napływały kolejne posiłki. Udało mu się również, jak dotąd, uniknąć kłopotów z Jowianami. Przedmiotem dużo większej troski niż niezliczone ale pokojowo nastawione tłumy jowiańskich gospodarzy, były dziwaczne formy życia, które nieustannie wyłaniały się z przesiąkniętych kłębamii pary wodnej lasów drzewiastych paproci, aby atakować Ziemiaków.

W nocy, po przybyciu Halketta, Crane długo opowiadał mu o Jowianach. Wcześniej już obydwaj wyszli poza umocnienia posterunku, i Halkett miał okazję po raz pierwszy w życiu zobaczyć Jowian. Wielkie płetwiaste istoty o łagodnych oczach, zbierały się wokół niego jak zainteresowane dzieci. Teraz, on i Crane siedzieli w jasno oświetlonym lampami biurze Crane'a. Okna biura wyglądały na zewnątrz posterunku, na potężną ścianę otaczającego go lasu paproci. Do uszu Halketta dobiegały wołania i wrzaski różnych niesamowitych mieszkańców lasu, a przed oczyma stały mu gęste mgły unoszące się coraz wyżej w świetle dwóch widocznych w tej chwili na niebie księżyców, Callisto i Europy.

– Ci Jowianie, nie są wcale tacy źli, Halk – powiedział do swojego przyjaciela pułkownik Jimmy Crane. – Są chyba zbyt łagodni, aby sprawić nam jakieś prawdziwe kłopoty, chociaż Bóg jeden wie, jak wiele milionów ich tam żyje.

Entuzjastycznie opowiadał o możliwościach jakie daje Jowisz.

– Mówię ci, to jest planeta przyszłości. Wetknij tu w ziemię nasiona, a za tydzień wyrosną ci drzewa. Pewnego dnia, kiedy Ziemia i Mars będą już przepełnione, ta planeta będzie mogła przyjąć tryliony ludzi.

– A gdzie będą Jowianie, kiedy nadejdzie ten dzień? – spytał go Halkett. Crane spojrział na niego.

– Nadal widzę, trzymasz się tego punkt widzenia? Halkett, musimy pozostawić pewne rzeczy samym sobie. Nie możemy troszczyć się o wszystko. Bądź pewny, że nie skrzywdzimy Jowian, jeśli nie będą próbowali nas powstrzymać.

– No cóż, być może uda nam się współżyć razem z nimi – stwierdził z zamyśleniem Halkett. – Wyglądają raczej na bardziej pokojowo nastawionych niż Marsjanie.

Rozdział 3

Następny – Jowisz!

Kłopoty z Jowianami pojawiły się jednak rychle po przybyciu Halketta. Crane w tym okresie kontynuował strategię wzmocnienia swoich dwunastu posterunków, rozrzuconych po południowej półkuli Jowisza. Nie próbował zakładać fortów na półkuli północnej, zdając sobie sprawę ze skromności posiadanych zasobów. Nawet te dwanaście posterunków na południu Jowisza, rozdzielonych było olbrzymimi odległościami. Rakiety umożliwiały stosunkowo szybką komunikację między nimi, ale i tak Crane wołał na razie wzmocnić tuzin posiadanych fortów, zanim zacznie zakładać nowe.

Wtedy właśnie pojawiły się kłopoty. Rozpoczęło się tak jak na Marsie, jakiś nadpobudliwy Ziemianin w jednym z fortów, z nieznanego bliżej powodu, pobił płetwiastego człowieka. W kłótni, która wywiązała się później, zabity został jeden Ziemian i pięciu Jowian. Wieści musiały się jakoś roznieść po lasach paproci, ponieważ Jowianie opuścili forty Ziemian. Crane prywatnie klął pod nosem, ale musiał działać. Ukarzył zamieszanego w to Ziemianina, i wysłał Halketta do osiedli Jowian, aby wyprostować sprawę.

Halkett nauczył się języka Jowian i okazał się być całkiem niezłym ambasadorem, jako że współczuł płetwiastym ludziom z całego serca. Zrobił wszystko co było w jego mocy, by wypełnić powierzoną mu misję, ale nie mogło się to powieść. Płetwiaści ludzie oznajmili Halkettowi, że nie żywią żadnych uraz, lecz wolą unikać Ziemian, aby nie pojawiły się kolejne kłopoty.

Halkett powrócił z tą odpowiedzią, i Crane uświadomił sobie, że stanął przed poważnym problemem. Wysłał przez radio wiadomość do Rady Międzyplanetarnej, a ta poleciła mu utrzymanie wszystkich utworzonych posterunków, i oczekiwanie na posiłki z Ziemi i z Marsa. Weathering miał mu wysłać większość z marsjańskich dywizji Wojska Rady, tak szybko jak to tylko będzie możliwe.

Wkrótce po nadejściu pierwszych wzmocnień, burza wybuchła. Jowianie zorientowali się, pomimo prób uspokajających zapewnień Halketta, co, w miarę upływu czasu, oznaczać będzie rozszerzanie przez Crane'a systemu posterunków. Wysłali więc do Crane'a poselstwo, prosząc go o zapewnienie, że na Jowisza nie przybędzie już więcej Ziemian. Crane szorstko odmówił złożenia takiej obietnicy. Nawet pomimo tego płetwiaści ludzie być może nie podjęliby żadnych działań, gdyby nie to, że czyjaś niepojęta głupota i brutalność skierowała w stronę ich postów, opuszczających fort Ziemian, wystrzał z blastera atomowego. Szybka

egzekucja przez Crane'a ludzi odpowiedzialnych za ten czyn, nie mogła zmienić już biegu rzeczy.

Jowianie, pobudzeni w końcu do żywego, powstali przeciwko Ziemianom. Na całym południowym Jowiszu, z lasów drzewiastych paproci wypływały niezliczone masy wojowników, idących na forty Ziemian. Nie mieli oni nawet prymitywnej broni chemicznej, jakiej używali Marsjanie, a ich jedynym uzbrojeniem były włócznie i wielkie maczugi, ale na każdego Ziemianina przypadały ich dziesiątki tysięcy. Crane z determinacją przygotowywał się do obrony swoich dwunastu posterunków, przeciwko powodzi płetwiastych ludzi.

Przekazał Halkettowi dowództwo jednego z posterunków, na drugiej stronie południowej półkuli Jowisza. Halkett użył do utrzymania placówki całego swego doświadczenia. Walczył, tak jak wszystkie pozostałe posterunki Crane'a, aby odeprzeć nieskończone masy Jowian. Blastery atomowe kosily ich pokotem, bomby atomowe wybuchały wśród nich, siejąc straszliwe zniszczenie, ale kolejne szeregi Jowian szły do ataku ze spokojną, lecz stanowczą determinacją.

Siły Crane'a nieustannie walczyły, by utrzymać stan posiadania Ziemi, dopóki nie przybędą posiłki. Crane wysyłał na Ziemię krótkie raporty z żądaniem pomocy. Rada doceniła powagę sytuacji, poleciła zebranie wszystkich dostępnych rakiet wyłącznie w jednym celu: przetransportowania swoich legionów i uzbrojenia, na południowego Jowisza. W posterunkach marsjańskich pozostały tylko szkieletowe garnizony. Pomimo wszystko, wydawało się, że Jowianie po prostu zaleją Ziemian, samą swoją liczbą.

Jeden z dwunastu posterunków Crane'a, rzeczywiście zalali. Dziwnym zrządzeniem natury Jowian było, że pomimo utraty w czasie długiego ataku na fort setek tysięcy zabitych, po jego zajęciu zadowolili się tylko zrównaniem z powierzchnią ziemi budynków i umocnień, oraz wzięciem Ziemian do niewoli. Nie było żadnej masakry, jak na Marsie. Crane'owi, po przybyciu kolejnych posiłków, udało się fort z powrotem odbudować.

Kierunek fali odwracał się na stronę Ziemian. Każdego dnia przybywały nowe rakiety pełne ludzi i zapasów dla Crane'a, i płetwiaści ludzie nie byli w stanie już dłużej stawiać czoła atomowym blasterom i bombom, nawet pomimo swej ogromnej liczebności. Ich ataki, w miarę umacniania się dwunastu fortów, stopniowo zamierały, a oni sami coraz częściej wycofywali się w gęstwinę swych wielkich lasów. Uderzali natomiast na wszystkie grupy, które ryzykowały wyjście z fortów. Była to taka sama sytuacja, jak trzy lata wcześniej, na Marsie, i Crane rozwiązał ją w ten sam sposób. Halkett stał się teraz jednym z jego najbliższych doradców, podobnie jak Hall Burnham, który przybył z Marsa, razem z posiłkami.

Crane powstrzymywał dalsze działania, dopóki nie wzmocnił swoich dwunastu posterunków, tak by nie obawiały się żadnego ataku. Potem stopniowo, w kolejnych przedziałach czasu zbudował co najmniej dziewięćdziesiąt nowych fortów, tworząc ich sieć na całej półkuli południowej Jowisza. Dalej miał zamiar postępować zgodnie z marsjańskim planem Weatheringa, podbijając planetę region po regionie, z tym wyjątkiem, że Crane operował wyłącznie na południu Jowisza,

pozostawiając północną półkulę tej olbrzymiej planety, całkowicie nietkniętą. Cierpliwie utworzył więc i wzmocnił sieć stu kilku posterunków.

Kiedy jego sieć silnych fortów, na obszarze całego południowego Jowisza została ukończona, Crane, tak jak planował, przeszedł do operacji podboju tej części planety region po regionie. Dla Ziemiaków, było to naprawdę tytaniczne zadanie. Największą przeszkodą w jego realizacji, nie byli sami Jowianie, którzy nie mogli stawić efektywnego oporu blasterom atomowym i bombom ludzi Crane'a, ale straszliwa siła przyciągania Jowisza. Czyniła ona poważnym wysiłkiem każdy, najdrobniejszy nawet ruch, i wymagała od Ziemiaków noszenia metalowych pancerzy wspomagających ciało, przez co poruszanie się było dla nich jeszcze trudniejsze.

Pomimo tego, region po regionie, dywizje sił mobilnych Crane'a, dowodzone obecnie między innymi przez Halketta i Burnhama, przebijały się, przez wypełnione mglistymi kłębami pary wodnej, lasy paproci, ciągnąc ze sobą swoje blastery atomowe, i spychały Jowian, powoli, ale nieprzerwanie, dopóki nie zostali oni otoczeni. Wtedy do akcji wkraczały blastery. W zielonym mroku potężnych wilgotnych lasów, toczyły się szaleńczo zażarte walki, podczas których jedynie niewielu Jowian się poddawało, a miażdżąca większość walczyła z niewzruszonym zdecydowaniem, dopóki nie pozabijały ich blastery atomowe i bomby.

Uścisk Crane'a na południowym Jowiszu, zaciskał się coraz mocniej z każdym regionem opanowanym, dzięki nadludzkim wysiłkom jego ludzi. W końcu mógł wysłać wiadomość dla Rady Międzyplanetarnej, że jego plan realizowany jest zgodnie harmonogramem. Podbijał kolejne regiony w taki sposób, by odcinać od siebie nawzajem zajęte terytoriami, większe masy Jowian. Wtedy, w środku jego olbrzymiego zadania, miał miejsce pewien zadziwiający incydent. Taki, który spowodował na Ziemi najpierw niedowierzanie, a następnie potężny gniew. Halkett stał się zdrajcą.

Pierwsze przesłane na Ziemię raporty na temat zdrady Halketta, były pełne sprzeczności i niejasności. Nieco późniejsze stwierdzały, że kapitan Halkett znajduje się pod strażą, w posterunku na południu Jowisza. Wskutek jego postępowania, pełna ciężkich walk, kampania w jednym z regionów zakończyła się niepowodzeniem i duże siły Jowian uciekły z okrażeń. To wszystko, co było wiadomo z pewnością, przynajmniej na początku.

Potem nadeszły informacje o szczegółach całej sprawy. W tym regionie przeciwko Jowianom działały trzy oddziały, pod dowództwem Halketta, Burnhama i oficera o nazwisku James. Halkett dowodził baterią ciężkich blasterów atomowych, a Burnham i James mieli zepchnąć siły jowiańskie w jej stronę. Przez wiele krótkich jowiszowych dni i nocy, spychali Jowian w pożądanym kierunku, zmagając się z nieustępliwym przyciąganiem

planety, niestrudzenie brnąc przez niekończące się lasy drzewiastych paproci, przez które musieli się przebić, i walcząc ze straszliwymi bestiami, wyłaniającymi się z głębi tych lasów. Oni, bez najmniejszych wątpliwości, wykonali swoją część roboty przeciw Jowianom.

Ale Halkett nie. Celowo rozkazał swoim ludziom, aby nie strzelali do Jowian, i płetwiaści ludzie uciekli im przed nosem. Ziemia nie mogła dać wiary tym wiadomościom. Zarówno wśród żołnierzy jak i cywilów szybko pojawiło się żądanie kary dla Halketta. Rada rozkazała Crane'owi odesłanie Halketta do domu, aby tam stanął przed sądem wojennym.

Crane odpowiedział, że Halkett znajduje się w jednej z placówek na południowym Jowiszu, i rozmowy z nim spowodowały, że sam jest niemal na wpół oszalały od całej tej sprawy.

– Halk, jak mogłeś to zrobić? – mówił do niego nieustannie. – Będę musiał cię teraz odesłać i Bóg jeden wie co sąd wojenny z tobą zrobi, przy takich silnych nastrojach przeciwko tobie, jakie panują na Ziemi.

– Nie przejmuj się tym, Crane – spokojnie odpowiadał Halkett. – Zrobiłem to co uważałem za słuszne i teraz chętnie przyjmę moją czarę goryczy.

– Ale dlaczego to zrobiłeś? – po raz setny dopytywał się Crane. – Halkett, jeśli tylko zeznasz, że nie wiedziałeś, że Jowianie przechodzą koło ciebie, że to był jakiś błąd lub chwila nieuwagi...

Wtórował mu Hall Burnham.

– Popelniony błąd mógłby spowodować utratę przez ciebie rangi, ale uniknąłbyś rozprawy przed sądem wojennym – tłumaczył Halkettowi. – Tym bardziej, że z pewnością w dużej mierze tak było.

Halkett pokręcił przecząco głową.

– To nieprawda. Nie mogę wyjaśnić dlaczego tak się stało, dlaczego to zrobiłem... ale gdybyście tylko widzieli tych Jowian przedzierających się tam, przez ten las... zmęczonych, ogarniętych strachem, ściganych i pędzonych przed siebie, przez wiele dni, a przy tym zupełnie nieokazujących nawet najmniejszego gniewu czy urazy... *Nie mogłem otworzyć do nich ognia z blasterów!*

Crane machnął tylko ręką.

– Halkett, rozumiem twoje uczucia, ale nawet pomimo tego, nie powinieneś tego robić. Wróciłbym z tobą na Ziemię, na rozprawę, ale nie mogę stąd teraz wyjechać.

– W porządku. Rozumiem, Jimmy – odparł mu Halkett. – Z ochotą przyjmę wszystko, co się wydarzy.

Halkett odleciał pod strażą na Ziemię, w jednej z pierwszych odsyłanych rakiet, podczas gdy Crane, Burnham i reszta, kontynuowali akcję opanowywania południowej półkuli Jowisza. W czasie całej podróży, oficerowie rakiety, wręcz ostentacyjnie okazywali Halkettowi wszelkie należne mu względy, ale żaden z nich nie odezwał się do niego nawet słowem, poza przypadkami, gdy było to absolutnie konieczne. Uczucia, panujące w armii, przeciwko pierwszemu zdrajcy, były bardzo intensywne.

Kiedy Halkett doleciał do Ziemi, po tej dziwnej podróży z Jowisza, przywódcy Rady, zarządzili natychmiastowe zwołanie sądu wojennego. Odbywał się on w wielkim budynku Armii. Rozprawa Halketta trwała cztery

dni, i w czasie wszystkich tych dni, budynek otoczony był nieustannie przez tłumy ludzi, oczekujących na ogłoszenie wyroku.

Oburzenie wśród ludzi na Halketta sięgało szczytów, wokoło rozbrzmiewało wiele głosów domagających się jego natychmiastowej egzekucji. Ludzie przeciwstawiali mu wspaniałe wysiłki Crane'a i innych, w tym aby utrzymać południowego Jowisza dla ludzkości, porównując je z tą zdradą ze strony zaufanego oficera. Gdyby Halkett nie był tak dobrze chroniony, mógłby wręcz zostać zlinchowany.

We wnętrzu wielkiego budynku Halkett stał i słuchał sądu nad swoim postępowaniem. Oficerowie, którzy zasiadali w składzie sędziowskim, dali mu szansę na uczciwy proces. Jego obrońca błyskotliwie przemawiał, przywołując poprzednią znamienitą historię służby Halketta, możliwość chwilowej utraty poczytalności, i tym podobne rzeczy. Halkett miał okazję uniknięcia kary, ale tylko do chwili złożenia własnych zeznań, co miało miejsce nieco później.

– Byłem całkowicie w pełni swoich władz umysłowych, kiedy rozkazałem bateriom blasterów atomowych nie strzelać – spokojnie oświadczył.

– Czy zdaje pan sobie sprawę, kapitanie Halkett – spytał ostro oficer przewodniczący składowi sędziowskiemu, – że czyniąc to, złamał pan i zdradził złożoną przez siebie przysięgę?

Halkett odparł, że był tego świadomy.

– Jakie powody może pan więc przedstawić sądowi, aby usprawiedliwić to pańskie ewidentne i celowe złamanie zaufania?

Halkett zawahał się.

– Nie jestem w stanie przedstawić żadnych powodów, które mogliby panowie zrozumieć – odparł.

Wtedy wybuchł z nagłą białą pasją:

– A dlaczego nie miałbym tego zrobić?! Przecież, pomimo wszystko, Jowisz należy do Jowian, czy nie tak?! Kimże my tam jesteśmy, jeśli nie najeźdźcami, intruzami? Jakże mógłbym wydać rozkaz, aby zniszczyć tych biednych, zaszczutych pletwiastych ludzi, podczas gdy wszystko, co oni próbują zrobić, to tylko zachować dla siebie swoją własną planetę?

Jego obrońca wysyłał w jego stronę szaleńcze sygnały, ale Halkett nie był w stanie się opanować.

– Jakie prawa mają rasy z Ziemi zarówno do Marsa, jak i do Jowisza? Kto dał nam prawo, żeby wymordować niemal wszystkich Marsjan, tak jak to już zrobiliśmy, oraz żeby powtarzać teraz to samo na Jowiszu? Jowian trzeba zabić, tylko z jednego powodu – ponieważ ta planeta ma bogate zasoby naturalne!

Ten wybuch pozbawił Halketta wszelkiej szansy na uniewinnienie. Oficer przewodniczący, surowym i poważnym głosem odczytał wyrok dziesięciu lat w wojskowym więzieniu.

– Tylko wzgląd na historię pana służby, na Marsie i na południu Jowisza, oraz fakt, że był pan jednym z biorących udział w historycznej wyprawie Drake’a – stwierdził pompatycznie, – powstrzymuje ten sąd przed wymierzeniem panu kary dożywocia, albo nawet najwyższego wymiaru kary.

Halkett przyjął werdykt sądu, nie pokazując po sobie żadnych emocji, i został odprowadzony z powrotem do swojej celi. Burnham, który przybył z Jowisza, zdążając akurat na koniec procesu, poszedł do niego, aby się z nim zobaczyć, zanim zostanie odstawiony do wojskowego więzienia. Halkett w milczeniu uściśnął mu rękę, obaj nie mieli sobie nic do powiedzenia.

Po osadzeniu Halketta w więzieniu, gniew świata zaczął przycichać. Jego nazwisko zostało wykreślone ze wszystkich rejestrów Wojska Federacji. Burnham powrócił na Jowisza. Halkett spędzał dni w warsztatach wojskowego więzienia, pomagając produkować blastery atomowe, bomby i inne zapasy dla armii. Swoje uwięzienie znosił ze stoickim spokojem.

Crane poruszył niebo i ziemię, aby uzyskać dla Halketta zwolnienie, ale okazało się, że jego wpływy są w tym przypadku bezużyteczne. Burnham wrócił i opowiedział mu, jak Halkett przyjął wyrok sądu. Przez długi czas obaj siedzieli w zupełnym milczeniu, być może rozmyślając o trzech entuzjastycznie nastawionych młodzieńcach, studiujących razem na politechnice, którzy zostali porwani przez lot Gillena, i natychmiast dołączyli do Drake’a.

Crane, w ponurym nastroju i niechęcią w duszy, ruszył dalej z planami opanowania południowego Jowisza. W podnieconym szumie wokół tej kampanii, świat szybko zapomniał o Halketcie. Plan Crane’a działał z maszynową precyzją, pozwalając na podbijanie, jeden po drugim, kolejnych regionów wielkiej planety. Na całym południowym Jowiszu, ci Jowianie, którzy nie zostali jeszcze zaatakowani, przenosili się pośpiesznie na północną półkulę planety, jak dotąd nie nawiedzaną przez wojska Ziemian.

W ciągu czterech lat, południe Jowisza w całości znalazło się pod kontrolą Ziemi. Zostało mocno uchwycone przez system posterunków Crane’a, większość z porastających je lasów uległa zniszczeniu przez blastery atomowe, a ponieważ wokół fortów z wolna zaczęły wyrastać miasteczka, uruchomiono wielkie projekty kultywacji ziemi pod uprawę zbóż. Istniały pewne rezerwy dla Jowian, ale większa część tubylców, którzy nie zostali zabici w czasie podboju, znalazła się na północy Jowisza. Tam lasy drzewiastych paproci nadal rozciągały się od równika aż po sam biegun północny, nietknięte ludzką ręką, takie same jak wtedy, kiedy widział je Gillen. Teraz jednak Crane zaczynał łakomie spoglądać w ich stronę, na północ.

Jimmy Crane był obecnie generałem Jamesem Cranem. Miał trzydzieści jeden lat, i po dziewięciu latach forsownego życia żołnierskiego na Marsie i

na południu Jowisza, skronie przyprószyła mu siwizna. Dwukrotnie wracał z Jowisza na Ziemię, w tym raz z Burnhamem, który teraz nosił stopień pułkownika, i za każdym razem próbował zobaczyć się z Halkettem, na co jednak nie pozwoliły mu rygorystyczne przepisy. Obecnie, Halkett już przez cztery lata pracował spokojnie w więziennych warsztatach, budując blastery atomowe, bomby i części do rakiet.

Crane i Rada, sporządzili plany opanowania północnej półkuli Jowisza. Miało to zostać przeprowadzone, w miarę możliwości, w sposób pokojowy, Jowianom miano oferować wielkie rezerwy leśne i inne bodźce. Ale pokojowo czy nie, planeta musiała znaleźć się pod kontrolą Ziemi. Crane, który znał dobrze Jowian, zaczął na południu Jowisza zbierać siły, nawet kiedy wysłał na północną półkulę Burnhama, który miał przedstawić Jowianom warunki oferty rządu.

Misja Burnhama, zmuszenia Jowian do pokojowego oddania ziemi pod osadnictwo, zakończyła się całkowitym fiaskiem, zresztą tak jak tego oczekiwał Crane i niemal wszyscy pozostali. Płetwiaści ludzie w ogóle nie ufali żadnym obietnicom Ziemiaków, i nie mieli ochoty żyć w rezerwach. Crane wysłał o tym wiadomość radiową do Rady, która zezwoliła mu na kontynuację działań z użyciem siły. Na Ziemi i na południu Jowisza, rozpoczęły się wielkie przygotowania.

W samym środku przygotowań, Crane dowiedział się, że Halkett został zwolniony z więzienia, a jego wyrok skrócony o połowę za dobre sprawowanie. Próbował odnaleźć Halketta przez wynajęte osoby, ale nikt nie wiedział, dokąd udał się on po opuszczeniu więzienia. Crane harował za dwóch, prowadząc wielkie przygotowania do kampanii na północy Jowisza i chwilowo nie był w stanie wszcząć jakichś poważniejszych poszukiwań swego dawnego kolegi.

Rozdział 4

Renegat

Flotylle kolejnych rakiet niemal nieustannie przybywały z Ziemi i Marsa, wylewając z siebie na południu Jowisza ludzi i materiały. Biura rekrutacyjne na Ziemi pracowały przez całe dni i noce. Crane brał przysyłanych przez nie ludzi, mieszał ich ze swoimi weteranami, ćwiczył ich, uczył jowiańskiego stylu walki, tworzył z nich zdyscyplinowane armie. Koncentrował ludzi i zapasy w równikowych posterunkach.

Crane robił to, ponieważ na północnej półkuli Jowisza, miał zamiar wprowadzić w życie odmienny plan. Zamiast tworzenia sieci posterunków, tak jak na Marsie, czy na południu Jowisza, zamierzał opasać planetę cienkim kręgiem ziemskich wojsk na równiku, a następnie zacząć przesuwając ten krąg na północ, w stronę bieguna. Crane wiedział, że jego pierścień, będzie robić się coraz mniejszy i mocniejszy, im dalej posunie się na północ, i będzie nieustannie spychał Jowian z północnej półkuli Jowisza, dopóki ci, którzy nie zginą w walkach, nie zostaną otoczeni w ciepłych regionach bieguna północnego.

Dwa lata przygotowań zajęło, zanim Crane uznał, że jego siły są dostateczne. Ani on, ani Burnham, w ciągu tego całego okresu, nie słyszeli nic o Halkettcie. Podobnie zresztą jak i inni. Burnham myślał już, że Halkett musiał gdzieś umrzeć. Obaj jednak mieli dostatecznie dużo innych spraw, o których trzeba było myśleć, gdy Crane rozpoczął swoją długo planowaną kampanię. W chwili gdy jego wojska opasały już mocnym kręgiem równik Jowisza, rozkazał ruszać naprzód. Pierścień wokół planety, zaczął pełznąć na północ.

Walki z płetwiastymi ludźmi, rozpoczęły się już po kilku dniach. Jowianie podówczas, opracowali już lepszą taktykę, niż bezmyślne szarżę na blastery atomowe, czy też wystawianie się na deszcz bomb atomowych. Spróbowali zastosować coś w rodzaju walki podjazdowej, która nie była złym pomysłem w gęstwinie lasu drzewiastych paproci. Wojska Crane'a, jednak, posuwając się do przodu, po prostu wypalały napotkany na swojej drodze las do gołej ziemi, i Jowianie musieli albo uciekać, albo ich wybijano.

Crane przez cały czas przesuwał swoje kwatery główne na północ, podążając za kręgiem wojska. Kierował ruchem pierścienia na północ, przy pomocy radia, wysyłając posiłki w rakietach, wszędzie tam, gdzie jakiś jego fragment powstrzymywany był przez bardziej zaciekły opór. Crane zdecydował się posuwać powoli, aby uniknąć nadmiernych strat. Nie było przecież pośpiechu – Jowianie byli spychani coraz bardziej na północ przez zaciskający się pierścień. Kiedy minęło pół roku, Ziemia usłyszała, że jego

wojsko pokonało połowę odległości między równikiem i biegunem północnym Jowisza.

Potem jednak na Ziemię dotarli zaskakujące wieści o postępach ofensywy Crane'a. Jego pierścień został odrzucony przez Jowian w tył, ponosząc ciężkie straty w kilku miejscach rozrzuconych niemal wokół planety! To wydawało się niewiarygodne, ale dokonali tego Jowianie uzbrojeni w atomowe blastery i bomby atomowe! W strategicznych lokalizacjach wokół planety, przygotowali oni krąg prymitywnych okopów i umocnień ziemnych i spowodowali straszliwe straty wśród ludzi w pierścieniu Crane'a, kiedy doszedł on do tych miejsc!

Ziemia natychmiast stanęła w płomieniach podniecenia i obawy. Jak do tej pory, zakładano, że końcowy sukces operacji Crane'a jest sprawą pewną – Rada zaczęła już nawet przyznawać przyszłe koncesje na terytorium północnej półkuli Jowisza. W jaki sposób prymitywni Jowianie mogli wejść w posiadanie uzbrojenia atomowego? Od Crane'a, który pośpiesznie powstrzymał ruch do przodu swojego pierścienia, wkrótce nadeszła odpowiedź. Jowianie byli prowadzeni przez Ziemianina – renegata, który w ciągu ostatnich dwóch lat szkolił ich w produkcji i użyciu atomowych blasterów i bomb. A tym renegatem był nie kto inny, tylko Mart Halkett!

Halkett został z całą pewnością rozpoznany przez niektórych oficerów Crane'a, podczas ataku na umocnienia Jowian. Widziano jak kierował całą obroną tubylców. Halkett! Człowiek, który siedem lat temu okazał się zdrajcą, a teraz z kolei stał się jawnym renegatem, prowadzącym pletwiastych ludzi przeciwko swojej własnej rasie! Bez żadnej wątpliwości, po uwolnieniu z więzienia, Halkett musiał dostać się w jakiejś rakiecie na południowego Jowisza, a potem powędrował sobie tylko znanym sposobem na północną półkulę planety, i wykorzystał swe umiejętności techniczne i doświadczenie zdobyte w więziennej fabryce, do nauczania Jowian, przed nadchodzącą walką, wytwarzania atomowych blasterów i bomb atomowych, oraz kopania umocnień obronnych.

W oczach ludzi z Ziemi, Halkett natychmiast stał się największym złoczyńcą w całej historii ludzkości. Na Ziemi, na Marsie i na południu Jowisza, ludzie płonęli wręcz ze wściekłości na sam dźwięk jego nazwiska. Żądano dla Halketta kary tysiąca śmierci, gdyby tylko kiedykolwiek został schwytany. Na czarnym tle zdrady tego podłego renegata, Crane, Burnham i reszta żołnierzy z Wojska Rady, zdawała się jaśnieć jeszcze większym nawet blaskiem heroizmu. Dzika żądza zmiżdżenia Jowian i egzekucji Halketta, przepełniała wszystkich Ziemian, wszędzie gdziekolwiek by się nie znajdowali.

– W żadnym wypadku nie wolno panu podjąć żadnych rozmów ze zdrazieckim przywódcą Jowian – Rada natychmiast przesłała Crane'owi przez radio instrukcję. – Proszę kontynuować kampanię na północnym Jowiszu, zgodnie z pańską oceną sytuacji.

Crane przeczytał otrzymaną wiadomość. On i Burnham początkowo byli wręcz oszołomieni nowinami o Halkettcie, a Crane długo jeszcze nie mógł w nie uwierzyć.

– To nie może być Halkett – mówił bez przerwy. – Mówię ci, on nie byłby w stanie walczyć przeciwko Radzie, przeciwko nam.

– To, już nie ulega najmniejszej wątpliwości – odpowiadał mu Burnham. – Halkett został rozpoznany przez ludzi, którzy dobrze go znają. Był tam, razem z Jowianami. A znasz przecież jego poglądy, on zawsze był za nimi.

– Tak, ale stać się zdrajcą, walczącym przeciwko własnej rasie?! Mówię ci, Burn, Halkett nigdy by tego nie mógł zrobić!

Jednak do czasu, kiedy otrzymał wiadomość od Rady, nawet Crane przekonał się już, że to Halkett jest zdradzieckim przywódcą Jowian. Wezwał swoich oficerów.

– Jutro ponownie rozpoczynamy posuwanie się naprzód – oznajmił z ponurą miną. – Powiadomić przez radio wszystkie sztaby, aby były gotowe.

Ofensywa rozpoczęła się ponownie, tym razem nie powoli i spokojnie, jak to było wcześniej, ale ze śmiertelną zjadłością. Pierścień sił ziemskich pełznął naprzód, do chwili kiedy nie napotkał linii umocnień jowiańskiej obrony. Crane rzucił naprzód w tym ataku przeciwko linii Halketta, wszystkie swoje siły, i rozgorzała przerażająca bitwa.

Tym razem, jednak, to Ziemianie atakowali, a Jowianie walczyli osłonięci.

Jowiańskie blastery atomowe i bomby, chociaż stosunkowo mniej liczne i nienajlepiej obsługiwane, pomimo wszystko czyniły straszliwe spustoszenie wśród nacierających Ziemian. Linia Halketta trzymała się na całym obwodzie planety, pomimo że Ziemianie atakowali jak szaleńcy. Crane w końcu musiał wydać rozkaz wycofania się. Ziemię wręcz zaszokowały wysłane do domu listy poległych. Ale Crane, chociaż został powstrzymany, nie został pokonany.

Zostawił Jowian Halketta w spokoju, dopóki nie przybyły dostatecznie duże posiłki, by wyrównać straty w jego szeregach. Wtedy ponownie rozpoczął atak, tym razem, jednak, nie stałą, mocną falą, ale w postaci serii punktowych uderzeń. Potężne kliny ludzi i uzbrojenia atomowego, zostały rzucone na linię Halketta w kilkunastu różnych miejscach. Plan Crane'a polegał na tym, by rozbić obronę Jowian przez nieustannie powtarzane, skoncentrowane uderzenia, a następnie zmusić ich do wycofania się.

Halkett walczył zaciekle, by utrzymać swoją linię obrony. Jego możliwości komunikacyjne były niewielkie, wiadomo było jednak, że wyszkolił nieco Jowian w obsłudze radia, i próbował kierować ich walką na całym obwodzie planety. Nie miał w ogóle rakiet, wobec tego nie mógł parować miążdzących uderzeń Crane'a przerzucając odwody w atakowane miejsca. Przewidywał nieuniknioną konieczność wycofania się, i kazał

Jowianom przygotować nowe linie obronne, bliżej bieguna północnego. Płetwiaści ludzie podążali za nim z absolutną wiarą i nadzieją.

Wkrótce Halkett został zmuszony do wycofania Jowian na pierwszą z tych pospiesznie przygotowanych pozycji obronnych. Crane nie próbował nawet ścigać Jowian, ale ponownie rozproszył swoich ludzi w pierścień i posuwał się systematycznie do przodu, na północ, niszcząc lasy i przeczesując je w poszukiwaniu rozproszonych grup tubylców. Kiedy jego pierścień osiągnął nową linię obronną Halketta, Crane nie zaatakował jej z marszu, ale ponownie zastosował swoją strategię rozbijania jej punktowymi uderzeniami.

Przez cały kolejny rok, linie frontów na Jowiszu, pozwalające ludziom na Ziemi śledzić sytuację na wojnie, pełżyły powoli, ale nieustannie na północ, w stronę bieguna. Za każdym razem Jowianie Halketta zmuszani byli do cofania się na kolejne linie obronne, a za nimi postępowali Crane, Burnham i oddziały Wojska Rady, zaciskając ich w stale kurczącym się pierścieniu. Wynik kampanii był jasny, ostatecznie musiało się to skończyć zepchnięciem wszystkich Jowian w pobliże bieguna, i Halkett desperacko walczył, aby temu zapobiec.

W pewnym sensie, była to bardzo dziwna sytuacja. Trzej nierozłączni przyjaciele z czasów dzieciństwa i młodości, stali się mężczyznami i walczyli wszyscy w tej wojnie ras, tu na Jowiszu, jeden z nich jako zdrajca zaprzędany obcej rasie, a pozostali dwaj, atakujący przez cały czas jego wojsko swoimi siłami. W obliczu twardej, surowej determinacji Crane'a, nikt nie mógłby oskarżyć go o to, że pozwala dawnej przyjaźni wpływać na swoje postępowanie. Niemiłosiernie spychał obronę Halketta, coraz bardziej na północ.

Ale kiedy linie obronne Halketta i Jowian osiągnęły ciepłe regiony polarne, jego geniusz militarny rozbłysnął jasnym światłem. Dowodził Jowianami w taki sposób, że pomimo słabości ich uzbrojenia atomowego, zmusił siły Crane'a do maksymalnego spowolnienia dalszej ofensywy. Pod jego przywództwem, niegdyś łagodni płetwiaści ludzie, walczyli jak demony. W czasie tych ponurych dni, na północnym Jowiszu, spośród wszystkich ludzi, Crane najbardziej chyba doceniał najwyższą jakość dowodzenia Halketta. Twardo uderzał jednak znowu, i linia obrony okrężnej Halketta kurczyła się coraz bardziej i bardziej, w miarę jak Jowianie byli zmuszeni do wycofywania się w stronę bieguna.

To była migracja całej rasy. Zmęczone tłumy Jowian uciekały nieustannie na północ, przez wypełnione kłębami pary wodnej lasy drzewiastych paproci, które należały do nich od niepamiętnych czasów. Co chwila sypali nowe umocnienia z ziemi, kopali nowe okopy, zawsze tam gdzie rozkazał Halkett. Wykorzystywali każdy element, mogący posłużyć do stworzenia zasadzki, jaki tylko potrafił wymyślić Halkett. Wszystko po to, aby zatrzymać Ziemiaków. Lasy paproci wypełniły się echem wystrzałów atomowych blasterów i trzaskiem wybuchów bomb atomowych, a dziwne dzikie stworzenia w głębiach tych zielonych ostępów zrywały się z łomotem to tu, to tam, aby uciec z terenu walk. Jowianie na całym obwodzie swej planety walczyli z ponurą zawziętością, teraz już tylko o swoje przetrwanie.

A za nimi nieustępliwie podążali ludzie Crane'a, tłumy Ziemiaków w metalowych pancerzach, zmagających się z licznymi przeszkodami, z gorącem, grawitacją, chorobami. Całymi dniami przedzierali się z najwyższym trudem przez gigantyczne paprocie, nie napotykając oporu przeciwnika, by dotrzeć w końcu do kolejnej linii oporu, na której Halkett zmasował siły Jowian. A wtedy ponownie atakowali, ponownie zaczynały ryczeć niosące śmierć blastery zarówno Ziemiaków jak i Jowian. I przez cały czas, pomimo desperackiego oporu, Jowianie byli spychani na północ, w kierunku bieguna.

Rakiety rozpoznawcze dostarczyły Crane'owi informacje, że Halkett utworzył w pobliżu bieguna północnego obóz dla uchodźców, w którym znajdowało się kilka milionów Jowian, oraz że gromadził blastery atomowe i bomby, kopiąc wokół niego silne umocnienia. Crane szukał możliwości odcięcia tej bazy od obwołu Halketta, ale Halkett zauważył ten manewr i zajął ją z większością pozostałych mu sił. Aby to zrobić, ewakuował swój obwód obrony okrężnej, poza kilkoma mniejszymi bazami. W ten sposób, ostatecznie, krąg linii obronnych Halketta wokół bieguna północnego, został zlikwidowany, a Jowianie utrzymywali wyłącznie owe ufortyfikowane bazy.

Ziemia eksplodowała radością, a Crane przystąpił do systematycznych działań, redukujących liczbę jowiańskich baz. Wysłał Burnhama z dostatecznie dużymi siłami Ziemiaków, aby zablokował Halketta i jego Jowian w ich głównej bazie, podczas gdy sam stopniowo likwidował te mniejsze. Zanim udało mu się je zająć, musiał stoczyć krwawą walkę. Jowianie, którzy ją przetrwali, w żalośnie małej liczbie, wysyłani byli do czasowych obozów więziennych, w oczekiwaniu na przeniesienie ich do zakładanych w międzyczasie rezerwatów. Po zakończeniu tej fazy operacji, Crane zebrał wszystkie swoje siły i dołączył do Burnhama, by stawić czoła ostatniej bazie jowiańskiej, w której przebywał zarówno Halkett, jak i jego wszyscy pozostali Jowianie, zarówno uchodźcy, jak i wojownicy.

Crane zaskoczył Burnhama i jego oficerów, stwierdzając, że chce pertraktować z Halkettem, w celu ustalenia warunków jego kapitulacji, pomimo że rozkazy Rady wyraźnie stwierdzały coś innego.

Wysłał więc poselstwo, wzywające Halketta do poddania się, w celu uniknięcia dalszego rozlewu krwi, obiecując Jowianom, że zostaną odesłani do rezerwatów, i wskazując im daremność dalszego oporu.

Od Halketta napłynęła spokojna odpowiedź.

– Nie ma mowy o poddaniu się, dopóki Jowianom nie zostaną zagwarantowane odpowiednie prawa, jako rdzennymi mieszkańcami i posiadaczami tej planety. Nic, co Jowianie będą musieli znieść obecnie, nie będzie gorsze od tego, przez co przeszli już wcześniej.

Crane przeczytał tę odpowiedź Burnhamowi, a jego opalona, pomarszczona twarz stężała.

– Halkett i Jowianie tak właśnie myślą – powiedział. – Będą walczyć do ostatka, i będziemy musieli ich zaatakować.

Burnham nachylił się w jego stronę.

– Powiedz mi, Crane – zapytał, – czy ty próbujesz ocalić tych wszystkich Jowian, tam w środku, oraz Halketta?

Crane popatrzył na niego, z widocznym bólem serca na twarzy.

– Słuchaj, Burn, tu nie chodzi o Halketta. Dla niego raczej lepiej by było, gdyby zginął w walce, podczas ataku, niż gdyby miał zostać zabrany z powrotem na Ziemię, i stracony. Ale ci Jowianie... Jestem już zmęczony ich zabijaniem.

Burnham z zamyśleniem skinął głową.

– A więc, co masz zamiar zrobić? Wydasz rozkaz aby jutro zaatakować? Ludzie niecierpliwią się, i chcieli by to już mieć za sobą.

Crane myślał przez chwilę, a potem zaskoczył go.

– Burn, ty i ja pójdziemy spotkać się z Halkettem, i spróbujemy go przekonać, by przyjął te warunki. On nie może wyjść do nas, ale my raczej bezpiecznie możemy wejść do środka.

– Ale Rada... – zaczął Burnham.

Crane machnął z niecierpliwością ręką.

– To ja dowodzę tą kampanią, a nie Rada. I to ja mówię, że pójdziemy do obozu.

Wysłał wiadomość za umocnienia, do Halketta, a ten odpowiedział mu, że z przyjemnością spotka się z generałem Crane'm i pułkownikiem Burnhamem w sprawie warunków kapitulacji, ale nie przewiduje zmiany swojego stanowiska. Crane rozkazał, zawiesić chwilowo wszystkie działania zbrojne, i o zachodzie słońca on i Burnham udali się z dwoma Jowianami, pod białą flagą, w stronę linii obrony jowiańskiej. Kiedy doszli do umocnień Jowian, zasłane mgłą czerwone słońce, tak odległe od potężnej planety, zapadało już niemal za horyzontem.

Dwaj pletwiastci ludzie, przed przeprowadzeniem ich przez umocnienia i okopy, zawiązali im oczy, bez żadnej wątpliwości na rozkaz Halketta, i zdjęli im opaski dopiero, kiedy znaleźli się w środku. Crane i Burnham ujrzeni, że stoją przed wielkim zamkniętym obozowiskiem, w którym znajdowały się nieprzeliczone masy jowiańskich uchodźców. Większość z nich nie miała żadnego schronienia, a w kilku szopach części z nich wydawano małe racje owoców i prowizorycznie przygotowanych potraw roślinnych. Tłumy pletwiastych ludzi, wyglądających dziwnie i potężnie w zamierającym świetle słonecznym, łagodnie spoglądały na Crane'a i Burnhama, przeprowadzanych przez teren obozu.

Kiedy szli za swoimi przewodnikami, Crane przyglądał się osobiście sponiewieranym żołnierzom Jowian, których przez tak długi czas spychał przed sobą na północ, ich topornie wykonanym blasterom atomowym i bombom. Wielu z nich stało na warcie wokół wewnętrznych umocnień. Tu i tam w zamkniętym terenie znajdowały wielkie składy bomb atomowych, chronione przez osłony. W pobliżu jednej z nich stała mała chata, w której stronę prowadzili ich dwaj Jowianie.

Kiedy Crane i Burnham zbliżyli się do niej, z chaty wyszli Halkett z trzema Jowianami. Halkett i jego doradcy, czekali na nich, a dwaj Ziemianie szli w ich stronę, powolnym ciężkim krokiem, który z powodu potężnego przyciągania planety, stał się już, dla ludzi na Jowiszu, drugą naturą. To było dziwne spotkanie. Cała trójka nie widziała się razem, od czasu, kiedy ich drogi rozeszły się osiem lat wcześniej, na południowym Jowiszu.

Halkett miał na sobie stary metalowy ubiór wzmacniający ciało, a dookoła jego lewego przedramienia owinięty był bandaż. Twarz miał opaloną, pokrytą zmarszczkami, i wyglądającą na zniszczoną życiem, ale jego oczy spoglądały ze spokojem. Stanowił przeciwieństwo Crane'a i Burnhama, w ich dobrze utrzymanych pancerzach chroniących ciało, z widocznymi insygniami Wojska Rady, które Halkett również kiedyś nosił.

Halkett nie podał im dłoni do uścisku, tylko czekał. Pierwsze słowa Crane'a były zmieszane, sztywne i formalne. Przypomniał warunki kapitulacji.

– Nie możemy ich przyjąć – spokojnie odparł mu Halkett. – Walczymy przeciwko nim od samego początku, i teraz Jowianie raczej umrą, niż udadzą się do tych waszych rezerwatów.

– Ale co innego możecie jeszcze zrobić? – spytał Crane. – Wiecie przecież równie dobrze jak ja, że mam dostateczne siły, żeby zająć to miejsce, i zrobię to, jeżeli się nie poddadacie.

– Wiem – odparł Halkett, – ale Jowianie nie posłuchają mnie, nawet jeśli każę im to zrobić. A ja nie mam zamiaru im tego rozkazywać. Ponadto, mam dla tych Jowian pewną drogę wyjścia.

– Drogę wyjścia? – powiedział Burnham. – Nie macie żadnej drogi wyjścia, wasze umocnienia są szczelne otoczone.

Jeden ze stojących obok Halketta Jowian, powiedział mu coś swoim dziwnym basowym głosem. Halkett odpowiedział mu cierpliwie, niemal delikatnie. Crane przyglądał się mu. Halkett odwrócił się ponownie w jego stronę.

– Bądź rozsądny, Halkett – ponaglał Crane. – Nie możesz uratować tych Jowian, a w ataku po prostu zginie ich tylko dużo więcej.

– Czy paru zabitych teraz Jowian, naprawdę zrobi jakąś różnicę? – zapytał Halkett. – Po tych wszystkich, którzy zginęli na południowym i północnym Jowiszu?

Popatrzył gdzieś za nich, zamyślonym wzrokiem.

– Zastanawiam się, czy Gillen przewidywał coś z tych rzeczy, które wydarzyły się na Marsie i Jowiszu, kiedy podejmował swój lot? Tak sobie myślę, co Gillen by powiedział, gdyby wrócił i zobaczył wszystko to co rozpoczął?

Milczeli przez kilka chwil. Krótki dzień jowiszowy już się skończył, i wraz z zachodem słońca, opadł na nich zmrok. Callisto i Io stały w zenicie, a na wschodzie w górę wznosił się Ganymedes. Trzy księżyce rzucały blade światło na wielki obóz. Niewyraźnie wydobywały z mroku masy czarnych płetwiastych postaci, otaczających Crane'a, Burnhama i Halketta.

Burnham i Crane wsłuchiwali się w słowa Halketta, które poza sporadycznie dobiegającymi do nich głosami Jowian, były jedynymi dźwiękami przerywającymi wieczorną ciszę. Większość z tubylców zachowywała milczenie. Siedzieli bez ruchu, zbici na noc w duże grupy. Spoza wewnętrznych umocnień widać było również wojowników Jowian, nieruchome, ciemne, wielkie postaci, osobliwie wyglądające w lekko tylko rozjaśnianej, przyćmionym księżycowym blaskiem, ciemności.

W końcu Crane odezwał się z widocznym wysiłkiem.

– A więc, to jest twoje ostatnie słowo, jeśli chodzi o warunki kapitulacji, Halkett?

Halkett potwierdził skinieniem głową.

– Ono nie jest moje, tylko tych wszystkich Jowian.

W pewnej chwili Crane'owi puściły nerwy.

– Halkett, dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego zostałeś renegatem, zdradzającym swoją rasę, bez względu na to, co się stało? Dlaczego zmusiłeś nas do tego, byśmy na ciebie polowali, tu na północy, walczyli przeciwko tobie i mieli obowiązek cię zabić?

– I wcale tego nie żałuję, Crane – odparł Halkett. – Pokochałem tych Jowian, takich łagodnych i dziecinnych, takich ufnych w stosunku do każdego kto okaże im przyjaźń. Po prostu wydawało mi się, że ktoś powinien stanąć w ich obronie, i przynajmniej dać im szansę na walkę. Nie obchodzi mnie, jak mnie nazywacie.

– Do diabła, chodźmy do rakiety, i całą trójką polećmy stąd gdzieś razem! – wykrzyknął Jimmy Crane sprzed dziesięciu lat. – Na jakąś inną planetę, damy sobie radę bez tego przeklętego Jowisza, Ziemi i wszystkich ich mieszkańców! Jak nasza trójka mogła do tego doprowadzić, żebyśmy walczyli między sobą, usiłując nawzajem się pozabijać?

Halkett roześmiał się na te słowa i złapał Crane'a za rękę.

– Jimmy! – powiedział. – Ty, Burn i ja, dawno temu przed ekspedycją Drake'a! Trzy dzieciaki -- pamiętasz? Teraz jednak nie możemy już zmienić tego wszystkiego co się stało, i nie jest to wina żadnego z nas. Być może zresztą, w całej tej sprawie, nikt nie jest winny.

Jimmy Crane z wysiłkiem wrócił do roli generała Jamesa Crane'a.

– Żegnaj, Halkett – stwierdził. – Przykro mi, że nie możecie przyjąć przedstawionych warunków. Chodźmy, Burnham.

Ten próbował coś powiedzieć, z rozedrganą twarzą, ale Halkett tylko się do niego uśmiechnął i uściśnął mu rękę. Burnham odwrócił się i poszedł za Crane'em oraz dwoma jowiańskimi przewodnikami, do wewnętrznej strony obwodu obronnego.

Widzieli, że Halkett nadal stoi w miejscu, gdzie go pozostawili, ze swoimi trzema jowiańskimi doradcami. Nie patrzył jednak za nimi. Jeden z Jowian mówił coś do niego, i kiedy Halkett odwracał się w jego stronę, by posłuchać, Crane i Burnham dostrzegli przez moment, w przyćmionym świetle nocy, jego ogorzałą, zniszczoną twarz.

Crane i Burnham wrócili do obozu, i Crane wezwał swoich oficerów.

– Nie będziemy odkładać ataku do jutra, lecz zaczynamy za dwie godziny – oznajmił podwładnym. – Nie będą oczekiwać szturmów tak szybko.

Halkett jednak musiał to przewidzieć, ponieważ kiedy siły ziemskie ruszyły z każdej strony na umocnienia jowiańskie, przywitał je deszcz strzałów ze wszystkich blasterów, jakie mieli Jowianie. Do tego czasu na niebie pojawiła się również Europa, i wszystkie cztery księżycy Jowisza spoglądały na dół, na przerażający atak. Blastery ryczały ogłuszająco, a grzmiące detonacje bomb atomowych następowały po sobie niemal bez przerwy, towarzysząc tłumom Ziemiaków wspinających się na jowiańskie umocnienia.

Jowianie odparli ten szturm. W odpowiedzi Crane skoncentrował siły, próbując zaatakować zachodnią stronę obwodu obronnego. Wysłał w powietrze rakiety, aby wzmocnić siłę deszczu bomb atomowych, i udało mu się po zachodniej stronie obrony dokonać wyłomu. Halkett jednak pchnął wszystkich swoich Jowian, by załatali tę dziurę, i siły Crane'a ponownie zostały odrzucone do tyłu, ze straszliwymi stratami po obu stronach.

Przez ciemności krótkiej nocy zaczął się już przebijać świt, kiedy Crane wydał rozkaz do trzeciego ataku, tym razem ze wszystkich stron, ale najcięższe uderzenie wymierzone zostało, tak jak poprzednio, w umocnienia od zachodu. Podczas tego szturmów Halkett nie zdołał już skoncentrować odwodów, by powstrzymać wyłom na zachodzie. Ziemia aż podskakiwała od ryku bomb i wystrzałów ciężkich blasterów, a Ziemiaki z głośnymi okrzykami i ogniem blasterów ręcznych, rzucili się do dalszej walki.

Wlewali się przez wyrwę w umocnieniach pomimo szaleńczego oporu żyjących jeszcze wojowników Jowian. W tym samym czasie również po wschodniej stronie tłumy Ziemiaków wdarły się w jowiańskie umocnienia. Crane i Burnham, przyglądający się z zewnątrz obozowisku, wraz ze wschodem słońca, zobaczyli nagły koniec bitwy.

Cały środek wielkiego kolistego obozu Jowian, wyleciał w powietrze, aż po samo niebo, w straszliwej serii eksplozji, które starty z powierzchni planety nie tylko wszystkich jowiańskich zwolenników Halketta i masy uchodźców, ale również większość Jowian i wielu Ziemiaków, walczących w otaczających go umocnieniach. W całym tym miejscu pozostał jedynie ogromny krater.

– Składy bomb atomowych w obozie! – zawołał Burnham. – W któryś z nich musiał trafić strzał blastera i spowodować wybuch!

Crane pokiwał tylko głową, z dziwnym wyrazem twarzy.

– Tak, blaster, ale w rękach Halketta. To on wysadził je w powietrze, by raczej zetrzeć swoich Jowian z powierzchni ziemi, niż pozwolić na wysłanie ich do rezerwatów.

– Mój Boże – wykrzyknął Burnham. – A więc to było to wyjście Halketta dla Jowian... stary Halkett...

Crane spojrział na niego kamiennym wzrokiem.

– Czy nie rozumiesz, że on przez cały czas, właśnie to planował zrobić? Wydaj rozkazy, żeby otoczyć tych pozostałych ostatnich Jowian w umocnieniach i przyprowadzić ich tutaj.

– Potem wyślij na Ziemię następującą wiadomość: „Ostatnia jowiańska baza została zdobyta, a przywódca Jowian, Halkett, nie żyje. Jowisz jest pod pełną kontrolą sił ziemskich. Proszę przyjąć moją rezygnację z Wojska Rady. Crane”.

KONIEC